

## Posłowie

Ten zbiór wierszy wprowadza w bardzo mięsisty świat, pozornie tylko bezpowrotnie utracony, pozornie tylko odległy. Grecja starożytna doczekała się mnóstwa badań i studiów, jakie pozwalają przewycięzać długo, od kilkunastu setek lat, ciężącą na niej posągowość oraz retoryczność. Spod tych stereotypów i lakieru wyłoniła się żywa, przejmująco osobista, a w rezultacie również wysoce podejrzana. Taką też wykreował Robert Gawłowski, zachęcony kapitalnym aforyzmem Emila Ciorana z jego *Myśleć przeciw sobie*: „Gdybyśmy mieli świat dla siebie samych, nie byłoby takie ważne, czy jest to świat pobożności, czy szyderstwa! Nigdy nie będziemy go mieć, gdyż nasza pozycja w istnieniu usytuowana jest na skrzyżowaniu naszych suplik i naszych sarkazmów, w owej nieczystej strefie, gdzie przenikają się westchnienia i prowokacje”. Kolejne wersy *Wieży wiatrów* czyta się więc w napięciu.

Tym, co najbardziej w nich ożywa, jest zresztą nie tyle estetyczna czy filozoficzna sfera greckiej kultury, ale jej zmysłowa fizykalność. Nie ma kultur ani sztuki bez zmysłowości. Sztuka to uzmysławianie. Dodam jeszcze, że jednym z greckich bóstw była Fizyka; można by ją określić jako uosobienie tego, że święta jest rzeczywistość. Gawłowski – poeta, krytyk, a dawniej dziennikarz – dostrzegł sacrum wpisane w politykę. Odwołał się do kilku coraz lepiej teraz rozumianych konstatacji znanych z *Polityki* Arystotelesa, osadzonych na przeświadczeniu, iż każda społeczność jest świętością. Każda, włącznie z każdym gestem i przedmiotem w jej polu widzenia, jak w rozszerzonym „ja”. A gnicie i rozpad społeczności mają coś wspólnego z rozpadem ciał, oznaczają metempsychozę

materii – jako ohydę i jako żer dla innych w łańcuchu metabolicznym cywilizacji, ale także jako nawóz użyźniający jakieś przyszłe, na razie jeszcze wręcz niewyobrażalne formacje.

Robert Gawłowski przyjął szczególną rytmikę i nastrój dawnej greckiej poezji. Wołę ją tu sygnalizować z perspektywy psychologa, a nie filologa. Przede wszystkim poeta nie próbuje być epigonem – nadto rozbija to, co hieratyczne, trochę tak, jak robił to Sienkiewicz z językiem ludzi baroku, gdy zderzał wyrażenia podniosłe i gminne, te „ówczesne” i te własnej doby. Gawłowski czyni zatem podobnie, i podobny uzyskuje efekt: aktualność, świeżość wywodu. Ma przy tym fascynującą metaforę. Poetyka antyczna zapewnia natomiast faktycznie jakąś nieważkość, tym mocniej odczuwalną, że zupełnie odłączoną od konkretnych wierzeń, założeń dotyczących istoty bytu, sensu życia i zaleceń etycznych. To paradoks: nieważkość po uwolnieniu ze wszystkiego, co było jednak zaledwie – tyle że dawno temu zawartą a ogromnie szanowaną – umową społeczną, dokładnie w znaczeniu nadanym jej przez Jana Jakuba Rousseau w *Du contrat social*, okazuje się tedy tworem ludzkim, kompromisem jakichś zapomnianych już z kretesem frakcji kapłańskich, wojskowych, kupieckich albo dworskich.

*Wieża wiatrów* Roberta Gawłowskiego jest w rzeczy samej jednym tekstem zbudowanym z wielu cegiełek i podmuchów, będących dla siebie jak duże i małe lustra; a pojawia się w porze szczególnej, gdy o naszej cywilizacji pada zewsząd, że odchodzi do przeszłości.

Rzecz w tym, że naczelny grecki mit wspólnotowy o Troi trzymał cały czas mniej lub bardziej na końcu języka niewypowiedziany mit o przemijaniu wielkich i skądinąd chwalebnych, szacownych, szczerze opłakiwanych „cywilizacji”. Ten ostatni zwrot przejęliśmy

z łaciny, a jego odpowiednikiem greckim była „polis”. Wraz z Troją przeminęła cywilizacja nieagresywna, samowystarczalna, gościnna, tolerancyjna i... obojętna na katastroficzne przepowiednie czy pouczenia moralistów. Piękna niemniej, subtelna, a tak długo pozostająca pod opieką Ateny, póki jej dar, mądrość oraz wiedza nie zostały wykradzione albo, ujmę to precyzyjniej, wyprowadzone poza bramy, poza nawias.

Nie wiem, czy i w jakim stopniu Robert Gawłowski chciał te niuanse eksponować. Zapewne tak już jest, że lektura świetnej poezji każdego dnia wiedzie do odmiennego odczytania. Bez wątpienia poeta imponuje znajomością kultury greckiej. Nie powtarza wszakże żadnej mitologii. Odsunął się, jak nomada w jednym z jego wierszy, i z osłupieniem konstatuje, że konie z fryzów jakiegoś gmachu ruszają nozdrzami, zaczynają parskać, rzeć i kopytami drobić. I chyba tą ścieżynką po długich latach milczenia jako pisarz, po prostu relacjonuje to... co zobaczył.

Układ zbioru ma odbić mityczną strukturę dynamiki świata, tak ludzkiego, jak fizykalnego. Wieża obrazuje ujęcie w Jednię, poszczególne wiatry to alegorie odrębnych energii, które pod imionami wiatrów są synami tytanydy Eos (Jutrzenki) i tytana Astrajosa. Dla greckiego ucha tytaniczność nie tylko nie jest boska. Jest wręcz antyboska, bogobójcza. Nawet ta, jaką posiada słodki, rzeński Zefir. Owe wiatry-energie są też wektorami, które w *Odysei* wymkną się spod wszelkiej kontroli albo, jak w *Iliadzie*, będą drzemać aż do wybuchu wojny, czyli zniewolenia i, na dalszym planie, Orestesowego szaleństwa. O tym warto pamiętać, bo encyklopedyczna znajomość mitologii zatarła tę różnicę. Tak więc *Wieża wiatrów* ma szczeliny, chwieje się. W przypadku poezji – to znak życia.

Urszula M. Benka